

Zdrowia, szczęścia i pomyślności sp. z o.o.

Artur Olchowy

Najgorszym dniem miesiąca jest piąty, oczywiście jeśli nie przypada akurat na niedzielę. To piątego zaraz po przebudzeniu sprawdzam na telefonie saldo na rachunku, a potem, w pół-śnie, czekam na dźwięk powiadomienia o przychodzącym przelewie. Po ósmej piętnaście ponownie na chwilę zasypiam i śnię koszmary z gatunku wolnostrzelecko-prekariackich. Jeśli nie pyknie do dziewiątej, wstaję i najpierw dzwonię do klienta, by wysłuchać kolejnej bajeczki o jego najbardziej na świecie chorowitej księgowej, przez którą płatność za fakturę znowu się spóźni. Kończę, życząc miłego dnia przez zaciśnięte zęby. W obawie o utratę i tych zleceń znów nie wydzieram się w słuchawkę, choć to sobie obiecuję za każdym razem. Tracę pół dnia na seriale, oczekując na księgowanie przelewów przychodzących o trzynastej trzydzieści, a gdy i wtedy nic się nie pojawi, wykonuję dwa kolejne telefony. Najpierw do landlorda, że kasa za wynajem znowu będzie nie wiadomo kiedy, bo choć na umowie termin płatności jest do piątego właśnie, realia są, jakie są. Drugi w kolejce jest kumpel robiący w krótkich i zazwyczaj nieźle płatnych fuchach.

— Cześć, stary — staram się ukryć frustrację w głosie. — Znowu mam obsuwę z przelewami. Znajdziesz coś na kilka dni?

Arek czasami coś proponuje, częściej jednak mówi, że akurat niczego nie ma na tapecie, ale jak tylko się coś trafi, jestem pierwszy na jego krótkiej liście. Oczywiście sam z siebie nigdy nie zadzwonił.

— Tomek? Telepatia, jak Cthulhu kocham! Właśnie wybierałem twój numer. Mam robotę, nawet na dłużej, jeśli chcesz.

— A płatność kiedy?

— Z góry.

W tym momencie piąty dzień miesiąca był tym najlepszym.

Biuro, w którym miałem się stawić „im szybciej, tym prędzej”, mieściło się w zabytkowej mokotowskiej kamienicy.

— Zamówimy panu taksówkę. — Kobieta po drugiej stronie łącza nie zdradziła żadnych szczegółów, nie licząc tych, które możliwie skrócą moją drogę do klienta.

— Za dziesięć minut będę gotowy — wysepleniłem, szorując zęby i drugą ręką kończąc się golić. Telefon przyciskałem ramieniem do prawego policzka, tego już ogolonego. Żałowałem, że znów oblałem egzamin z asertywności i nie zapytałem ani Arka, ani rozmówczyni o

ciepłym głosem, na czym moja praca ma polegać. Przynajmniej mógłbym dobrać garderobę do wizerunku mnie odpowiedzialnego i reprezentatywnego albo mnie kreatywnego i wyluzowanego. Ostatecznie wybrałem coś pomiędzy, czyli t-shirt z The Cure, niepostrzępione džinsy i marynarkę. Zbiegłem praktycznie pod koła parkującej wzdłuż krawężnika taksówki.

Biuro Young & Beautiful było świetnie urządzone. Recepcjonistka, Agata, poprosiła, by zwracać się do niej po imieniu, i zaproponowała kawę. Miała ją zanieść do pokoju konferencyjnego, do którego wezwano mnie, jak tylko przysiadłem na skórzanym miękkim fotelu. W sali konferencyjnej czekały na mnie dwie osoby. Jedną z nich skądś kojarzyłem, ale nie potrafiłem wskazać źródła. Młoda, ładna dziewczyna o sympatycznych rysach bawiła się smartfonem leżącym na dużym stole z przydymionego szkła, na którym zostawały odciski po najlżejszym nawet muśnięciu. Stukała w ekran z wprawą, która mi imponowała. Towarzysząca jej kobieta w garsonce była starsza. Ujrawszy mnie, wstała i wyszła naprzeciw z wyciągniętą do powitania ręką.

— Wreszcie pan jest. Czekaliśmy z niecierpliwością. Niech pan siada, tu są dokumenty. Parafki tu, tu i tu, podpis czytelny na końcu, tylko niech pan sprawdzi, czy dane są prawidłowe. Tutaj RODO, a tu klauzula poufności. Pan Arkadiusz zgodził się na zachowanie tajemnicy przez dwadzieścia cztery miesiące. Zgadza się pan na taki okres?

Słowa padały z jej ust z w tempie godnym znanej z reklam supli formułki o przeciwwskazaniach, szkodliwościach i podmiotach odpowiedzialnych. Na stole z cichym szelestem lądowały kartki upstrzone przyklejonymi kolorowymi strzałkami, wskazującymi fragmenty wytłuszczone w ścianie tekstu drukowanego niewielką czcionką. Zaczynała mnie ogarniać panika.

— Hola, hola, pani... Zapomniałem imienia, przepraszam. — Kobieta w garsonce przestała terkotać. Ta druga po raz pierwszy na mnie spojrzała. — Co ja w ogóle mam dla was robić?

— Pan Arkadiusz nie powiedział?

— Widocznie zapomniał — z uśmiechem próbowałem rozładować sytuację.

— To jest Mako, nasza klientka — powiedziała, wskazując dziewczynę. — Ja mam na imię Teresa i reprezentuję agencję. Pani Mako jest influencerką. Ma przeszło osiemdziesiąt tysięcy followersów na Instagramie.

Kiwałem głową, ale nie miałem bladego pojęcia, o czym mówi. Chyba to zauważyła.

— Pani Mako od niedawna jest też mamą. Jeszcze raz gratulujemy!

Adresatka gratulacji ponownie na chwilę zerknęła znad ekranu i uśmiechnęła się, prezentując aparat nazębny z różnokolorowymi kamieniami i chowając głowę w ramionach.

— I tu właśnie jest pan potrzebny.

— Ale ja się nie znam na dzieciach! — zaprotestowałem spanikowany.

Kobiety spojrzały na siebie, po czym wybuchły śmiechem. Dołączyłem nieśmiało, coraz mniej rozumiejąc, choć w zasadzie od początku nie rozumiałem zgoła nic.

— Mam sesję fotograficzną w tym tygodniu w Algierii — klientka agencji odezwała się po raz pierwszy. Głos miała miękki, miły dla ucha. — Stroje kąpielowe. Zdjęcia będą trwały dziesięć dni, z przelotami wyrobimy się w dwa tygodnie.

— Ale ja nie mam paszportu...

— Chodzi o to, żeby pan przez ten czas nosił brzuch pani Mako.

Zaniemówiłem.

— Dokąd?

— Dokąd pan chce — klientka nadal nie mogła powstrzymać śmiechu po poprzednim wybuchu. Był zaraźliwy.

— Pani Mako ma niezagojoną bliznę po cesarskim cięciu.

— To akurat drobiazg. — Influencerka machnęła ręką. — Nie doprowadziłam brzucha do porządku po ciąży, a nie chcę rezygnować ze zdjęć. To tylko dwa tygodnie.

W końcu zacząłem rozumieć, o co chodzi, poza tym w podanych dokumentach zobaczyłem kwotę wynagrodzenia. Kwotę, która wywołała mój szczerzy uśmiech. Przez kolejne trzy miesiące mogłem się nie martwić zdrowiem księgowej odpowiedzialnej za przelewy ani nie śnić koszmarów piątego po ósmej. Szybko podpisałem papiery podanym mi długopisem.

Czerwona krecha nad włosami łonowymi trochę swędziała. Musiałem się powstrzymywać przed drapaniem tamtych okolic przynajmniej w miejscach publicznych, bo zachowywałem się, jakbym miał mendi. Zauważyłem też, że tłuszcz na brzuchu i biodrach rozkładał się jakoś dziwnie. Inaczej niż wcześniej, choć przecież nigdy nie byłem w formie, którą prezentują modele w czasopismach o dietach i planach treningowych. Pępek też miał inny kształt. Odczułem jakiś atawistyczny dyskomfort, gdy stanąłem nago przed lustrem. Jakby mózg nie do końca potrafił połączyć obraz trafiający do oczu z parametrami przechowywanymi w pamięci. Postanowiłem nie patrzeć na swoje odbicie, no i odtąd sikałem na siedząco. Wyrzeczenia, które uznałem za dopuszczalne za takie pieniądze.

Postanowiłem też sprawdzić, czyją skórę nosiłem. Mako najwyraźniej była znana z tego, że była znana. Wrzucała dużo zdjęć z mnóstwem tagów, na komentarze fanów, a raczej głównie fanek odpowiadała uśmieszkami, serduszkami i jednorożcami. Zdjęcia z sesji w Algierii opublikowała w internecie jeszcze przed końcem kontraktu. Musiałem przyznać, że do przedciążowej formy faktycznie trochę jej brakowało. Porównałem wyprężoną na zdjęciu sylwetkę

w zielonym bikini z moją w bokserkach, odbitą w lustrze. Znowu mnie zemdliło. Eksperymentu nie powtarzałem.

Mako prywatnie okazała się bardzo sympatyczną i ogarniętą osobą. Gdy zadzwoniła, by umówić się na spotkanie, na którym mieliśmy spisać jakieś protokoły, spytała, czy chciałbym zrobić sobie z nią zdjęcie.

— Jasne — odparłem bez zastanowienia. — Czemu nie?

Potem było mi trochę głupio. Myślałem, że to będzie zwykłe selfie, jakich ludzie wrzucają do sieci tysiące. A skąd: dwóch ludzi z blendami, makijażysta, fotograf, agentka celebrytki — krótko mówiąc, pełna profeska.

— Trzymaj lusterko o tak — instruowała mnie ze swoim policzkiem przyciśniętym do mojego. — A teraz rób miny, baw się! Patrz, jak śmiesznie wyglądamy!

Trudno mi było się skupić, głównie przez strzelającą jak karabin migawkę aparatu wyglądającego zza lusterka. Zanim wróciłem do siebie, wrzucona przez Mako fotka miała cztery tysiące lajków. Zostałem nazwany #bestfriend.

Następnego dnia rano zadzwonili z agencji chwilę po tym, jak zdążyłem z pewnością godną fazy REM stwierdzić, że jednak nie oglądałem serialu, a śnię. Pani Agata szczerze się ucieszyła, gdy odpowiedziałem, że chętnie znowu do nich wpadnę.

Tym razem było jeszcze ciekawiej. Miałem przez osiemdziesiąt dni nosić tatuaże słynnego aktora, którego rola wymagała nieozdobionej nimi skóry. O zrobieniu sobie dziary myślałem raz czy dwa, ale zawsze zniechęcały mnie ceny i kolejki do najlepszych salonów. Teraz miałem okazję zobaczyć, jak to jest mieć naprawdę po mistrzowsku wykonane tribale. Do tego tymczasowe i z solidną dopłatą.

— Czemu nikt mi o tej robocie nie powiedział wcześniej? — zażartowałem, gdy pani Teresa podsuwała mi umowy do podpisania.

Nie musieliśmy się spieszyć jak poprzednim razem, mogłem więc przy pysznej kawie uważnie przeczytać zapisy, jak mamusia uczyła.

— To standardowa umowa — zapewniła, gdy po raz kolejny przeglądałem punkt traktujący o skutkach niewywiązania się przez stronę z uzgodnionych warunków. Niektóre zdania były trochę zbyt zawile sformułowane. — Zasadniczo działamy na tak wielu rynkach, że większość kwestii spornych radzimy rozstrzygać przed sądami. Ale nie było precedensu.

— To znaczy?

— Nigdy nie mieliśmy reklamacji, mimo to mamy dużą rotację. Niektóre transfery są uciążliwe — żaliła się.

— Na przykład?

— Na przykład artretyzm.

Tym razem wynagrodzenie było odpowiednio wyższe i w zasadzie mogłem porzucić dotychczasowe chałturzenie dla nieterminowego klienta i jego umierającej księgowej. Tatuaze prezentowały się nie najlepiej, ale powiedzmy, że była to wina moich warunków fizycznych. Postanowiłem to zmienić. Właśnie siadłem do komputera, by poszukać jakiejś pobliskiej siłowni, gdy zadzwonił telefon.

— Tomal? Tu Julia, z liceum. Strasznie trudno cię namierzyć... Jesteś tam? — spytała, bo milczałem, próbując skojarzyć osobę po drugiej stronie łączy. Bez rezultatu.

— Kopę lat — odpowiedziałem nieśmiało, bo to akurat była prawda, że od liceum minęło już trochę czasu.

— Wiesz co, widziałam twoją fotkę z Mako. Znacie się?

— No. Pomogłem jej z wyjazdem do Algierii.

W odpowiedzi usłyszałem tę wymowną ciszę, jaka następuje, gdy powiesz coś, co powoduje opad szczęki razem z majtkami. Dziewczyna, jak się okazało, nie tyle chodziła ze mną do liceum, co raczej uczyliśmy się mniej więcej w tym samym budynku i w podobnym czasie. Numer do mnie wydebila dzięki znajomości sąsiadki matki jej psiapsioły z moją matką. W sieci znalazłem jakieś jej zdjęcia. Umówiliśmy się na weekend w Łazienkach.

Tym razem przy rozliczeniu umowy i spisywaniu protokołu to ja poprosiłem o wspólną fotę z klientem. Oprócz selfie od aktora wziąłem autograf dla dziewczyny. Julia bez mrugnięcia okiem łyknęła zniknięcie tatuaży dzięki specjalnemu naświetlaniu promieniami gamma, jak wyjaśniłem pobieżnie i gubiąc się w zeznaniach. W ogóle kolejne dziwne zmiany na moim ciele przyjmowała bez oporów i pytań. Czasami tylko wydawało mi się, że do łóżka wchodziła z jakimś obrzydzeniem, ale i tak się cieszyłem, bo zgodnie z moją dotychczasową filozofią w relacjach intymnych ulubioną pozycją była każda, w której mogłem jakoś uczestniczyć.

Następne zlecenia były mniej przyjemne, dlatego prócz umowy dostałem receptę na leki przeciwbólowe. Tym razem wziąłem dwie roboty jednocześnie, bo skoro i tak miało boleć, lepiej niech boli za podwójną stawkę. Do domu wróciłem z opuchniętą gębą, jakbym zszedł z ringu. Doczłapałem do łóżka, zeżarłem proszki i położyłem się na wznak. Czuję się, jakby mi ktoś siedział na klatce piersiowej i wyciskał powietrze z płuc.

— Co się stało? — Julia stała w drzwiach sypialni z kubkiem herbaty. Tak, sypialni, bo dwie wynajmowane kawalerki zamieniliśmy na wspólnie kupione mieszkanie.

— W pracy. Ciężki dzień — wydyszałem. Za bardzo bolało, bym mógł się skupić na kłamstwach. — Dostałem dużą premię.

— A, to okej. — Podeszła i delikatnie pocałowała mnie w fioletowy i nabrzmiały policzek.

Wieczorem obejrzelismy galę wręczenia nagród filmowych. Ja dosłownie jednym okiem z powodu obrzęku. Statuetkę w jednej z mniej prestiżowych kategorii wręczała aktorka z dekoltem, którego widok powodował u mnie duszności. Cycki zrobiła sobie przedwczoraj. Nie wiem, jak prezentowały się wcześniej, pewnie nie tak nachalnie. Przedwczoraj też dostałem na przechowanie obrzęki, stan zapalny, szwy, ból. Równie dobrze prezentował się jej facet z nowym nosem, oklaskujący partnerkę z widowni, co raz czy dwa uchwyciły kamery. Miałem nadzieję, że zniwelowanie charakterystycznego garbu zrujnuje mu karierę. Bolało tak, że budziłem się każdej nocy po kilka razy.

W kolejnych miesiącach lekkich i śmiesznych robótek trafiało się niewiele. Jakies blizny z dzieciństwa, łysiny, wysypki alergiczne lub od stresu, dziury po kolczykach w różnych miejscach. Więcej dostawałem urazów, schorzeń i zwyrodnień. Łękotka i staw skokowy topowego piłkarza dosłownie na godziny przed finałowym meczem mistrzostw, amputowana noga celebryty, który na swoim kalectwie zrobił karierę, ale teraz miał wystąpić w jakimś teleturnieju w rodzaju gwiazd i gwiazdeczek tańczących na lodzie. Nie powiem, że bóle fantomowe nie są dziwnym doświadczeniem. Poza tym to było pierwsze zlecenie, które polegało na tym, że czegoś nie miałem zamiast mieć. Drugie tego rodzaju dotyczyło zębów polityka, który wybrał się do Lizbony z kochanką.

Powoli wpadałem w rutynę: umowa, RODO, klauzula, potem protokół i od razu nowa umowa, RODO, klauzula. Szwy, gipsy, dreny, obrzęki, ropnie, opatrunki. I ból. Zacząłem nawet tworzyć własną listę bólu bardziej lub mniej dotkliwego. I tak zapalenie gardła boli oczywiście mniej niż zapalenie osierdzia, pęknięcie kręgosłupa mniej niż pęknięty jajnik, a wypadająca odbytnica mniej niż wypadający dysk. Uwierzcie mi na słowo! Zaczynałem też rozumieć, dlaczego agencja miała tak dużą rotację pracowników.

Najnowsza robota obejmowała chyba wszystkie bebechy muzyka rockowego na siedem dni. Muzyka, który był idolem jeszcze mojego ojca. Gwiazdor wyprawiał huczne urodziny swojej wnuczce i chciał być w formie.

— Jakiś umierający milioner mógłby tak sobie spróbować przedłużyć życie — zażartowałem.

— To niemożliwe — ton głosu pani Teresy był chłodny. — Taka umowa byłaby nielegalna, nieważna. Zlecenie może obowiązywać tylko przez okres, który jest dla was bezpieczny. Podkreślę to jeszcze raz. Nikt w agencji nie pozwoliłby na narażanie w ramach zlecenia waszego zdrowia i życia.

Przytaknąłem, nie tłumacząc nawet, że nie mówiłem poważnie. Podpisałem, co było do podpisania, i spytałem dla pewności, czy przy protokole zdawczo-odbiorczym będę mógł dostać autograf, tym razem dla ojca.

Spod biura agencji odebrała mnie Julia naszą nową mazdą. Poza kontrolą nad pracą traciłem również kontrolę nad naszymi nowymi rzeczami. Tych kilka kroków dzielących mnie od samochodu pokonałem z trudem. Od lat śledziłem dosyć pobieżnie karierę muzyka, którego bagaż imprez, orgii, używek i harców dźwigałem, ale co innego czytać, co innego odczuć na własnej skórze. No i we własnych płucach, trzustce, wątrobie, sercu i stawach. Poprosiłem, żebyśmy pojechali od razu do domu. Czułem się fatalnie. Julia obraziła się chyba, gdy odrzuciłem jej amory, i poszła oglądać jakieś Wyspy Miłości czy inne reality show. Rano obolały, zły i przerażony swoim odbiciem w lustrze poprosiłem, żeby mnie zawiozła do lekarza, do kliniki profesorskiej. Stać mnie.

— Nie wiem, od czego zacząć. — Siwy profesor dłuższą chwilę przeglądał z uwagą fotografie, skany, wyniki badań krwi i moczu. Gryzł przy tym długopis i wzdychał cicho. — Moja wstępna, mocno podkreślam, wstępna diagnoza to jakaś niespotykana forma progerii, ale musiałbym się skonsultować z genetykami. Według ostrożnych szacunków zostały panu może dwa miesiące. Mniej ostrożnych — miesiąc.

Podniósł brwi ze zdziwieniem, gdy odetchnąłem z ulgą.

— Wie pan, bałem się, że już stąd nie wyjdę — dodałem pogodnym głosem. Byłe do przyszłego tygodnia.

Profesor próbował mnie zatrzymać, skierować do szpitala, nawet karetkę chciał wezwać, ale zdecydowanie odmówiłem. Cóż, trzeba jakoś ten tydzień wytrzymać. W końcu za to mi płacili.

Odczułem niepokój, gdy dzień przed upływem terminu umowy pani Agata nie zadzwoniła z zaproszeniem na spotkanie. Tłumaczyłem sobie, że to dlatego, że była niedziela, a nie pamiętam, czy w niedzielę pracują. Obawa wzrosła w poniedziałek rano. Co chwilę zapadałem w płytką drzemkę, by po minucie lub dwóch ocknąć się i sprawdzić na telefonie, czy nikt nie dzwonił. Był piąty, co zauważyłem z pewnym zdenerwowaniem. O ósmej trzydzięści postanowiłem, że poczekam do dziewiętej. O dziesiątej poprosiłem zaspaną Julę, by pomogła mi się zebrać i zawiozła do agencji, bo przez godzinę nie byłem w stanie się do nich dodzwonić. Nie wiem, czy gdybym nie wziął laski, ktoś by mi w ogóle otworzył. Mahoniowym drągiem postanowiłem walić do skutku i w końcu, gdy już byłem na granicy płaczu, drzwi się otworzyły. Pani Agata z jak zwykle uroczym uśmiechem zaprosiła mnie do środka.

— Pani Teresa zaraz przyjdzie. Kawę czarną? — upewniła się, czy nie zmieniłem nawyków.

Ekspres wciąż jeszcze sikał płynem, gdy ze swojego gabinetu wyszła kobieta w garsonce. Wyraz twarzy miała jak w trakcie ostatniej naszej rozmowy, a dokładnie jak po moim żarcie o przedłużaniu życia. Wzdrygnęło mnie na tę myśl. Podeszła energicznie, stukając głośno obcasami o kamienną posadzkę. Nie wyciągnęła ręki do powitania, więc i ja tego nie zrobiłem.

— Powiem krótko, bo jestem dziś zajęta — powiedziała szybko, jak wtedy, gdy podawała mi dokumenty po raz pierwszy. — Pana umowa z klientem jest pana umową z klientem, nie z agencją. Wszelkie kwestie tam zapisane proszę egzekwować w drodze cywilnej. Agencja nie jest stroną.

— Ale pani nie rozumie, że ja umieram? Zostały mi może cztery tygodnie, góra osiem! Dziś mieliśmy spisywać protokół, kończyć tę robotę!

— Panie Tomku — jej głos nabrał nieco łagodności — w takim razie proszę się pośpieszyć. W przypadku zgonu strony proces ulega zawieszeniu. Do sądu biec.

Jula odwiozła mnie do domu, spakowała trochę swoich bambetli i wyjechała. Wy tłumaczyłem jej po drodze, skąd miałem kasę, skąd znałem tych wszystkich ludzi ze świecznika i skąd te problemy zdrowotne. No i że wkrótce umrę. Nawet całusa nie dostałem na pożegnanie. W tydzień spieniężyłem, co się dało, mieszkanie sprzedałem dużo poniżej jego wartości, ale liczył się czas. Jadąc taksówką, słuchałem w radiu o trwającej drugi tydzień na tropikalnej wyspie balandze, o której codziennie piszą bulwarówki i plotkarskie portale. Ponoć stary muzyk tak szalał, że dużo od niego młodszy mogli zazdrościć. Od zaciskania szczęk zламаłem jeden ząb.

Siedzący naprzeciw mnie student miał rozbiegany wzrok, krótki oddech i bez przerwy wycierał dłonie o spodnie. Pani Teresa nie pomagała, wyrzucając z siebie słowa z prędkością godną formułek znanych z końca reklam supli.

— Stan zdrowia klienta nie pozwala na umowę trwającą dłużej niż siedem dni. Kwestie pozaumowne proponujemy rozwiązywać w drodze sądowej, agencja nie jest stroną, a tylko pośredniczy. Reszta wygląda tak, jak zapewne mówił pan Arkadiusz. Podpis tu, tu i tu, do tego parafki na każdej stronie. Panie Tomku, pana też poproszę.

Podpisujący papiery młody mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego. Tak zdezorientowanego jak ja, gdy pierwszy raz siedziałem na jego miejscu na drugim końcu stołu. Dokumenty wędrowały po blacie w jedną i drugą stronę. Dziś jeszcze tylko do sądu, puścić pewną legendę rocka z torbami, i mogę żyć w zdrowiu, szczęściu i pomyślności bez żadnych ograniczeń.